

Adam Workowski  
Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie  
adamworkowski@gmail.com

## Wędrowki filozofa religii po niespokojnym stuleciu

(Jan Andrzej Kłoczowski OP, *Drogi i bezdroża. Szkice z filozofii religii dla humanistów część 1*, Biblioteka Pana Cogito, Instytut Myśli Józefa Tischnera, Kraków 2016, ss. 340)

Książka *Drogi i bezdroża* o. Jana Andrzeja Kłoczowskiego to zbiór 19 esejów o myśleniu religijnym, pisanych w ciągu wielu lat. Struktura książki obejmuje trzy rozdziały. Pierwszy – mówi o podstawowych dążeniach człowieka religijnego, takich jak wolność, prawda i miłość, drugi – prezentuje warsztat filozofa religii, a trzeci – przedstawia wielkie postacie dwudziestowiecznej, współczesnej myśli religijnej.

Autor brawurowo pokazuje, jak religie, a szczególnie chrześcijaństwo, wzbogacają życie człowieka, i uparcie dąży do zbudowania precyzyjnego języka, który mógłby opisać subtelny i tajemniczą sferę przeżyć religijnych. Korzysta z apofatycznego języka teologów i klasycznych metafor mistyków, ale również pilnie śledzi religijne i antyreligijne pisma zwolenników nowej duchowości i ateistów.

Książka odsłania wiele wymiarów pisarstwa o. prof. Kłoczowskiego. Teksty były adresowane do różnej publiczności i w różnym czasie, ale eseje zostały ułożone wedle porządku rzeczowego, co musiało z konieczności zaburzyć chronologię ich powstania<sup>1</sup>. W książce znajdziemy zarówno teksty skierowane do religijnych laików, jak i do wytrawnych koneserów metafizyki Mistrza Eckharta. Autor potrafi świetnie zmieniać rejestry wypowiedzi – zależnie od sytuacji operuje językiem prostym i przystępnym lub bardzo technicznym.

---

<sup>1</sup> Książka jest wydana bardzo starannie. Uważny czytelnik może sprawdzić daty pierwodruków przy końcu książki. Jednak mało kto czyta eseje – sprawdzając odpowiednie daty i konteksty.

Książka krakowskiego dominikanina jest dla mnie cenna przede wszystkim jako świadectwo drogi o Kłoczowskiego – w czasach trudnych i pasjonujących dla myśliciela religijnego. Spróbuję to uzasadnić.

Skupienie się jedynie na rzeczowej zawartości esejów byłoby zubożeniem lektury. Pomijamy wtedy ważny wymiar hermeneutyczny tekstów, który pozwala umieścić Autora w szerszym kontekście: w jego „miejscu w życiu” (*Sitz im Leben*). Najważniejsze jest tu nie tylko, co się mówi, ale także, kto i kiedy to mówi. W istocie czas historyczny i biograficzny odgrywa wielką rolę w książce Kłoczowskiego. Wystarczy uświadomić sobie, że eseje powstawały w ciągu 40 lat, ważnych dla myślenia religijnego w Polsce. Zatem w mojej lekturze biorę pod uwagę kontekst powstania – wprowadzam postać Autora i czasy, w których pisał. Powiem prowokacyjnie, że ciekawsze i czasem nawet ważniejsze wydawało mi się śledzenie szerszego kontekstu idei religijnych Autora niż szczegółowa egzegeza tekstów.

Racje dla przyjęcia perspektywy lektury „historycznej” mogą się wydać nieco brutalne. Czytelnik nie musi czytać zbioru „rozproszonych” esejów, gdyż pełniej pozna twórczość o Kłoczowskiego z jego innych książek. Podobnie omawiani w książce myśliciele religijni byli kiedyś znani tylko z drugiej ręki, ale dziś możemy łatwo sięgnąć do źródeł i przekładów, a opasłe tomy Carla Gustawa Junga czy Friedricha Nietzschego można znaleźć w każdej księgarni. Jednak te racje nie są najważniejsze. Najbardziej przekonuje mnie i dodaje otuchy bardzo krótki i piękny wstęp Autora.

O. Kłoczowski pokazuje w nim korzenie swojego myślenia. Jego drogą jest Jezus Chrystus. Na swojej drodze spotyka kulturowe znaki. Musi nauczyć się je czytać i rozpoznawać, żeby iść naprzód, a nie zbłądzić. Obraz człowieka religijnego, który idzie po własnej drodze, rozważając znaki – bardzo trafia do wyobraźni. Pokazuje, że ważniejsze są droga i dążenie, a znaki służą drodze i nie można się przy nich zbyt długo zatrzymywać.

We wstępie intryguje nas zagadkowa dwoistość. Kłoczowski używa dwóch pojęć do opisu zagrożeń dla wędrowca: czasem mówi o rozdrożach, a czasem używa terminu bezdroża. Nie trzeba stosować żadnej „radykalnej interpretacji”, żeby zobaczyć różnicę. Nawet więcej – w napięciu tych dwóch pojęć skupia się moim zdaniem wyjątkowość wędrownika Autora. Bezdroża oznaczają zejście z własnej drogi; natomiast rozdroża – to miejsca, w których krzyżują się drogi. Wydaje się, że Kłoczowski z upodobaniem wędruje po rozdrożach. Gdy przeglądamy książkę, uderza nas otwartość filozofa na myśl religijną i antyreligijną: bada pisma zaciekłych ateistów, radykalnych zwolenników „śmierci Boga” i poszukiwaczy „nowej” innej duchowości. W miejscach, gdzie inni widzą śmiertelne zagrożenia dla chrześcijaństwa, o. Kłoczowski odkrywa znaki i wskazówki. Bezdroża kierują uwagę na coś innego niż brak religii. Bezdroża to sfera „zimnego serca”, obojętności i przewrotności, które wydają się gorsze niż namiętne diatryby „przeciwników Pana Boga”.

Lektura książki *Drogi i bezdroża* może być fascynująca, gdyż odśłania długą i pełną przygód drogę Autora po rozdrożach myśli religijnej. Nie trzeba się martwić, czy da się ją odczytać z rozproszonych tekstów. Nie trzeba pisać powieści ani uprawiać archeologii, żeby wiedzieć, jak wiele można odczytać z wyinków dzieła filozofa i teologa.

Czy jednak opisywanie ciekawej i trudnej drogi myślenia religijnego Autora nie jest „grzebaniem się” w szybko oddalającej się przeszłości? Czemu młodzi ludzie mają śledzić dzieje zmagania polskiego filozofa z dwudziestowieczną europejską myślą religijną? Dziś mamy inne czasy i inne lektury.

Kto jednak pragnie naprawdę przyswoić współczesną myśl religijną, w której dominującą rolę odgrywa postsekularyzm w odmianie teistycznej i ateistycznej – musi być nastrojony na doświadczenia religijne lub duchowe albo przynajmniej dobrze je rozumieć. Nowe idee i nowe lektury mogą trafiać na płodny polski grunt, „spulchniony” dzięki o. Kłoczowskiemu i innym, nie licznym dzielnym ludziom, którzy od lat oswajali nas z myśleniem religijnym. Dzięki nim nowe idee mogą zostać rzetelnie ocenione: odrzucone lub przywołane, a nie pozostaną tylko modnymi gadżetami.

Warto zatem opisać wędrowca i jego wieloletnie zmagania z myślą religijną. Oczywiście rozdzielanie wędrowca i jego drogi jest sztuczne i pełni funkcję czysto porządkową.

## Wędrowiec

Zbiór esejów w pasjonujący sposób pokazuje różne strony Autora. O. Jan Andrzej Kłoczowski to uważny **czytelnik współczesnej filozofii** religii, który prowadzi zdystansowany dialog z różnymi myślicielami (rozdział 3), ale również **rasowy metodolog**, który rozumie specyfikę języka religijnego (rozdział 2). Jednak w książce ukazuje się także jako **zaangażowany filozof chrześcijański** – i to na dwa odmienne sposoby. Jako duchowy potomek św. Tomasza próbuje budować mosty i unikać jednostronności i radykalizmu poglądów. Niemniej największe wrażenie wywołują teksty pisane z ducha św. Augustyna, z ogniem pokazujące wielkość chrześcijańskiej wolności i poszukiwania prawdy (czasem ostre przeciwstawienie religii biblijnej innym rodzajom duchowości prowadzi do charakterystycznej Augustyńskiej przesadzi, na przykład kiedy Autor twierdzi, że w przeciwieństwie do chrześcijaństwa pogańska starożytność nie znała sporów z bogami). Uważny czytelnik zauważy też u Autora **wrażliwość na piękno** (choćby postaci i pism Simone Weil. No cóż, słabość do piękna raczej nie dziwi u dyplomowanego historyka sztuki). Wreszcie, spod różnorodnych odśłon profesora i chrześcijańskiego myśliciela wyłania się czasem **temperament i cięty dowcip** Autora.

Książka odśłania zatem postać, która łączy odmienne składniki: spokojny dystans myśliciela i temperament obrońcy wiary. Do tego dokłada się rogata

natura, która na własną rękę śmiało przeczesuje tradycję europejskiej religijności. O. Kłoczowski na przykład z wielką atencją pisze o Simone Weil. Autor jest uparty i niepokorny – podziwia krystaliczne piękno pism religijnych Weil. Pomija pojawiające się u francuskiej mistyczki poniżanie cielesności, próbę zacierania „własnego ja”, żeby zrobić miejsce dla Boga, i bezlitosny opis konieczności materii: wątki nieco manichejskie, które przejmowały podziwem Alberta Camusa i Czesława Miłozza, ale są raczej dość ekstrawaganckie dla Mistra teologii katolickiej i nieco odpychające dla naszej współczesnej wrażliwości.

Te przeciwstawne wymiary służą budowaniu integralności wędrowca, który na wielu rozdrożach nie gubi własnej drogi. Nie jest to spokojna i niewzruszona integralność św. Tomasza (podobno święty, gdy słyszał końcowy dzwonek, przerywał wykład nawet w połowie zdania). Kłoczowski jest człowiekiem naszych czasów, dla którego integralność duchowa jest raczej zadaniem i kruchym osiągnięciem niż zastanym stanem rzeczy.

## Wędrownika w czasie

Ważnym bohaterem książki jest czas historyczny. Wskażę na kilka przykładów. Gdy zna się polot i żywość pisarstwa Kłoczowskiego – jest niespodzianką, że niektóre „gorące tematy” są potraktowane nieco zdawkowo. Biorąc pod uwagę żarliwość i ostrość myśli ateistycznej, esej o ateizmie okazuje się bardzo spokojny i wyważony. Podobnie blado wypadają postaci Carla Gustava Junga czy Dietricha Bonhoffera, które miały wielki wpływ na europejskie myślenie religijne. Moje zarzuty stają się jednak anachroniczne i nietrafne, jeśli uświadomimy sobie, że teksty pojawiły się na początku lat siedemdziesiątych. To były czasy, kiedy w Polsce wielu było zaszokowanych twierdzeniem Józefa Tischnera, że tomizm nie musi być ostatnim słowem chrześcijaństwa. Teksty Kłoczowskiego wówczas oswajały Polaków z myślą bardzo „egzotyczną” i bardzo odległą od otaczającej rzeczywistości.

O. Kłoczowski tłumaczył myśl religijną dla polskich intelektualistów. Rola tłumacza jest niewdzięczna – waha się od postawy biernego przekaznika do bramkarza w nocnym klubie (może to nieco frywolne porównanie, ale pamiętam wiele wykładów profesorskich z lat osiemdziesiątych, które zaczynały się od słów „Jak błędnie mówi Nietzsche”). Można wnioskować, że o. Kłoczowski widział siebie w roli **dietetyka dusz** – dbał o pożywność treści, znając realia wiedzy religijnej w Polsce.

Może dziwić, że w eseju o Bonhofferze brakuje rozważań o „taniej łasce” i dojrzałości chrześcijanina, który „żyje jakby Boga nie było”. Czy jednak te rozważania mogły być przydatne dla ludzi, którzy w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych walczyli w Nowej Hucie o fizyczną obecność krzyża, a stawiając nowy kościół – potrzebowali sporo odwagi? W tamtych czasach ateizm kojarzył się Polakom raczej z tępym sekretarzem partii niż z żarliwym

przeciwnikiem Boga lub sceptycznym intelektualistą. Kłoczowski dobiera tematy i sposób podejścia jak rasowy pasterz dusz. Jego nawet najbardziej filozoficzne teksty są kierowane do czytelników w określonym czasie i miejscu.

Taka postawa ma zalety i wady. Święty Paweł „karmił mlekiem” słabych w wierze. Autor powinien mieć zawsze przed oczami swoich czytelników. Można mówić rzeczy słuszne, które nie trafiają do ludzi (stałe przypomina mi się, jak robotnicy przyjmowali chłodno sławną Joan Baez, która podczas strajku w stoczni w sierpniu 1980 r. śpiewała o cierpieniach Murzynów w USA). Lecz postawa dietetyka duszy może mieć również ciemniejszą stronę – nie sprzyja rozwinięciu samodzielności odbiorców.

Mówi się dość powszechnie, że Polska nie przeżyła ideowych sporów z czasów Reformacji i Oświecenia, a powojenne prądy myślowe przyswajaliśmy tylko z drugiej ręki. Trzeba odczuwać żywą wdzięczność do nielicznych myślicieli, którzy tłumaczyli ludziom w powojennej Polsce nowe idee religijne i antyreligijne w sposób spokojny i wyważony. Jednak jakość i temperatura współczesnych sporów w polskiej myśli religijnej (nie należy jej mylić z ideologicznymi połajankami w mediach) nie jest najwyższa. Czy to nie dlatego, że nasi tłumacze – sami przetrwali wrzący tygiel europejskich ideologii, a nas karmili raczej „kaszką z mlekiem” niż surowym mięsem religijnych sporów?

Czy jednak nie stawiam publiczności zbyt wysokich wymagań? Zapewne niemal każdy człowiek ma duchowe rozterki i potrzeby. Czy jednak myślenia religijnego nie powinniśmy pozostawić specjalistom? Mówi się przecież, że teologia i filozofia religii to zawody podwyższonego ryzyka. Ksiądz Jerzy Szymik pisał, że teologowie chodzą po graniach i turniach ludzkiego ducha; ks. Tischner podziwiał heroizm teologów piszących o Trójcy Świętej – przynajmniej na równi (albo wyżej) z czynem o. Maksymiliana Kolbe. Zapewne jednak nie powinniśmy przechodzić ze skrajności w skrajność. Może nie każdy czytelnik albo słuchacz kazań powinien zdobywać szczyty duchowości, ale to nie znaczy, że ma jak niedzielny turysta patrzeć z podziwem na Tatry (i taterników), przegryzając oscypki i kiełbasę z grilla na Krupówkach.

Można podziwiać „tłumaczy” myślenia religijnego albo ich oskarżać. Tego sporu nie da się rozstrzygnąć. Sam jestem wdzięczny, że w młodości usłyszałem o kilku nazwiskach i prądach religijnych, które pomogły mi ukształtować religijną wyobraźnię. Ominęły nas Polaków burze ideowe, może nie doznaliśmy olśnień, ale oszczędzono nam wielu głupich europejskich teorii. Myślenie religijne jest przecież niebezpieczne – może rodzić idee cenne i zwariowane. Zatem może to lepiej, że ominęły nas niektóre szaleństwa XX wieku?

Po wojnie stosunkowo niewielu ludzi w Polsce miało doświadczenia „płonącego nieba” wiary i wielkich religijnych sporów. Trudne czasy sprzyjały zbliżeniu z religią i absolutnymi wartościami. Dziś sytuacja ludzi religijnych bardzo się zmieniła. Dawne śmiertelnie niebezpieczne poglądy wydają się oswojone. Ludzie wierzący spokojnie czytają antyreligijne diatriby Nietzschego, Sigmunda Freuda lub Karla Marksa. Teologowie przynajmniej nawet,

że obrazoburcy jak Nietzsche przyczynili się do oczyszczenia i wzmocnienia chrześcijaństwa. Jednak znaczenie terminu „oczyszczenie” zależy od kontekstu czasowego. (Mnie pojęcie oczyszczenia religijnego kojarzy się raczej z fotelem dentystycznym, na którym wyję z bólu, a dentysta mówi flegmatycznie: „przecież muszę oczyścić kanał”. Kto z młodych ludzi zrozumie dziś dawną groźbę słowa „oczyszczać zęba” bez środków znieczulających?).

Mówiąc półzartem, mam pretensję do naszych „tłumaczy” religijnej kultury współczesnej, że pozbawili nas „intelektualnego rollercoastera”: szalonej jazdy kolejką w górę i w dół. Czytelnicy między innymi o. Kłoczowskiego nie odczuli potężnego ciśnienia wojującego ateizmu i sekularyzacji w powojennej Francji, toteż bez zdziwienia, a nawet osłupienia przyjmują woltę elit filozofii francuskiej (i nie tylko), które coraz mocniej wracają do duchowości. Chrześcijaństwo, a szczególnie dzieła św. Pawła i św. Augustyna, znajduje się teraz w centrum uwagi intelektualistów. Taka jest ironia losu polskiego intelektualisty. Gdy we Francji królował sekularyzm, który stwierdzał koniec religii, w Polsce kościoły pękały w szwach. Zanim młodzi w Polsce naczytali się o sekularyzacji i zaniku wiary, pojawił się postsekularyzm, który odrzucił tezę o końcu religii i postawił nowe zagadki dotyczące jej przyszłości.

Ojciec Kłoczowski wcale się nie dziwi tym przewrotom, ponieważ zna to zjawisko od podszewki. Badał przez dziesiątki lat zagadkowy przewrót Leszka Kołakowskiego, który od żarliwej krytyki religii przeszedł długą przemianę – zrozumiał i przyjął wagę religii dla jednostek i istnienia każdej cywilizacji. Przyznam, że (mimo lektury Kołakowskiego i Kłoczowskiego) ta przemiana pozostaje dla mnie zagadkowa i niezrozumiała. Zapewne jednak o. Kłoczowski odnalazł klucz do zrozumienia atrakcyjności religii dla przysięgłych ateistów i agnostyków. Może to żar antyreligijny przeciwników „Pana Boga” jest odpowiednikiem ognia Proroków i mistyków?

Wybrałem tylko niektóre przykłady wpływu czasu na zrozumienie esejów o. Kłoczowskiego. Warto byłoby sięgnąć głębiej. Zagadkowe pozostaje na przykład, że w tekstach pochodzących już z XXI wieku (moje ulubione eseje z pierwszego rozdziału książki) Kłoczowski z pasją przypomina, jak chrześcijaństwo wzbogaciło ludzkie rozumienie miłości i wolności. Czemu tak mocna apologia w naszych czasach, kiedy agresywny sekularyzm przechodzi do historii? Czy to nie potwierdza tezy, że dla Autora prawdziwym wrogiem religii okazują się skostnienie, formalizm i utrata wewnętrznego ognia wiary?

Na szczególną uwagę zasługuje też drugi, metodologiczny rozdział książki, który chętnie nazwałbym „pozytywistycznym”. Ojciec Kłoczowski uczy w nim czytelnika języka filozofii religii – cierpliwie wprowadza pojęcia, pokazuje różnice między *sacrum* a *profanum*; *divinum* a *sacrum* itd. Dostarcza niezbędnych narzędzi sensownego mówienia o religii. Ta „praca organiczna” pozostanie trwałym dorobkiem Autora. W naszych czasach wiele mówi się (a nawet krzyczy) o religii, ale niewiele się o niej myśli. Kształtowanie języka debaty o religii może być najlepszą metodą, żeby nieuchronnie zbliżające się

spory o religię w Polsce zachowały duchową głębię i nie redukowały się do plemiennych okrzyków ideologów.

Zdaję sobie sprawę, że opisujący Autor książki może być niepodobny ani do znakomitego krakowskiego kaznodziei, którego słuchają tłumy, ani do uniwersyteckiego profesora religii. Mógłbym co prawda zasłonić się filologicznym argumentem, że Autor książki nie jest tożsamy z fizyczną osobą, a zatem naiwne jest szukanie podobieństw i niepodobieństw do pierwowzoru. Pokornie przyjmuję pomoc filologów, ale zapytam oponentów po swoim. Czy napięcie między wyznawaną wiarą duszpasterza a uprawianą filozofią religii nie dostarcza klucza do myślenia filozoficznego, które uprawia o. Kłoczowski? Książka świetnie pokazuje to napięcie – jest rozpięta między dwoma biegunami: zaczyna się od „egzystencjalnego” wstępu wędrującego chrześcijanina, a kończy wyrafinowanym zestawieniem twierdzeń profesora filozofii.

Po napisaniu tego radykalnego wniosku końcowego – poczułem się nie-swojo. Jakby na moje plecy padło się nieco ironiczne spojrzenie. Łamiąc jeszcze raz zasady teorii literatury, żałuję, że nie udało się przemycić do postaci Autora więcej ciętej ironii żywego pierwowzoru, który za pomocą błyskotliwego gestu czy słówka, z odrobiną złośliwej inteligencji, potrafi pokazać trzeźwy dystans oraz przywrócić słowom i teoriom im właściwy wymiar.

Jednak nic straconego... Podobno o. Kłoczowski kończy nową książkę o religii dla humanistów. A znając standardy długowieczności jego dominikańskich poprzedników (Józefa Marii Bocheńskiego czy Joachima Badeniego) szykuje dla nas jeszcze wiele niespodzianek.